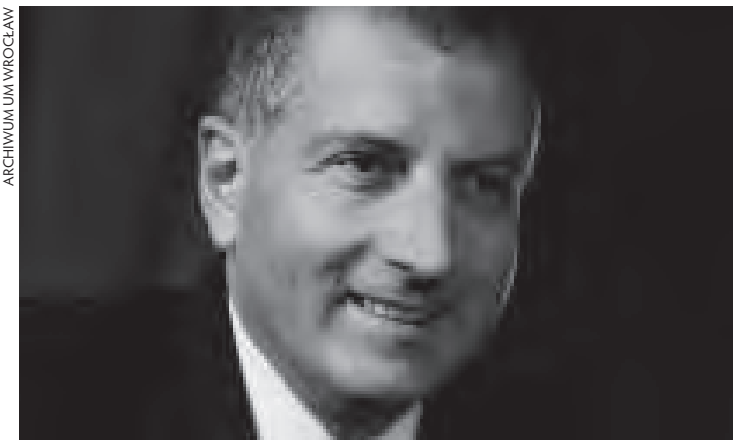


LITERACKA NAGRODA EUROPY ŚRODKOWEJ ANGELUS



Szanowni Państwo!

O tym, że Wrocław zdobył tytuł Europejskiej Stolicy Kultury w 2016 roku, wiedzą już, mam nadzieję, chyba wszyscy. Muszę jednak dobitnie podkreślić, że duży udział w tym sukcesie ma także nasz konkurs o statuetkę Angelusa, czyli Literacką Nagrodę Europy Środkowej, przyznawaną w tym roku już po raz szósty.

Angelus jest najważniejszą nagrodą w dziedzinie twórczości prozatorskiej tłumaczonej na język polski, przyznawaną pisarzom pochodzącym z 21 krajów Europy Środkowej, obejmującym w swoich utworach tematy najistotniejsze dla współczesności i pogłębiającym wiedzę o świecie innych kultur.

Znamiennym jest, że w naszym mieście, o tak złożonej historii, powstał pomysł ustanowienia takiej nagrody. Po wojnie, w murach wielowiekowych tradycji, osiedlili się zupełnie nowi mieszkańcy, niosący w sobie różnorakie idee i wartości. Powstał tygiel, w którym zderzały się ze sobą przeszłość z teraźniejszością, zderzali ludzie pochodzący z wielu stron kraju. Spadkobiercami tradycji czeskich, niemieckich, żydowskich, chrześcijańskich, ewangelickich, prawosławnych stali się Polacy pochodzący z wielu stron świata: Kresowianie, Małopolanie, Ślązacy. Z tygla kultur powstała zupełnie nowa jakość, powstało społeczeństwo otwarte, tolerancyjne, akceptujące odmienność.

W związku z tym konkursowi od lat towarzyszy sporo emocji i bardzo wymagająca publiczność. Jury pod przewodnictwem rosyjskiej poetki i działaczki społecznej Natalii Gorbaniewskiej nominowało w tym roku do nagrody siedem książek, wśród których znalazły się dwie białoruskie, niemiecka, ukraińska, słoweńska, albańska i polska.

Zapraszam 3 grudnia do Wrocławia na uroczystą galę wręczenia Angelusa – Literackiej Nagrody Europy Środkowej. Uroczystość będzie miała dla mnie szczególnie charakter, ponieważ odbywa się podczas roku poświęconemu Tadeuszowi Różewiczowi, jednemu z najwybitniejszych polskich twórców.

Prezydent Wrocławia
RAFAŁ DUTKIEWICZ

TYGODNIK
POWSZECHNY

„ANGELUS” Dodatek do „Tygodnika Powszechnego”,
Redakcja: Marcin Żyła
Statuetka „Angelusa” autorstwa Ewy Rossano, FOT. MIROSLAW KOCH



Rywalizacja pisarzy z Europy Środkowej o przyznaną już od sześciu lat przez miasto Wrocław prestiżową nagrodę Angelusa nie tylko łączy w jedną, literacką przestrzeń kraje wyszehradzkie, bałkańskie i poradzieckie, ale udowadnia też coś niezwykle ważnego: że język, wbrew melancholijnej refleksji Imre Kertésza sprzed lat, nie przebywa już w naszym regionie na bezwarunkowym wygnaniu.

Literacka Nagroda Europy Środkowej Angelus, najważniejsza tego typu w dziedzinie twórczości prozatorskiej tłumaczonej na język polski, stanowi, jak piszą organizatorzy, „bezpośrednie nawiązanie do wielowiekowej tradycji Wrocławia jako miasta spotkań i dialogu”. Prof. Norman Davies nieprzypadkowo sportretował w „Mikrokosmosie” właśnie stolicę Dolnego Śląska, wydobywając z historii miasta ducha porozumienia, wspólnej dla wielu narodów i religii przestrzeni oraz tolerancji mieszkańców wystawianej na próbę przez zakusy historii.

W półfinale tegorocznej edycji Angelusa znalazło się 14 pozycji, z których jury pod przewodnictwem Natalii Gorbaniewskiej nominowało do finału dzieła siedmiu autorów: Swietłany Aleksijewicz i Natalii Babiny z Białorusi, Jenny Erpenbeck z Niemiec, Drago Jančara

ze Słowenii, Ismaila Kadara z Albanii, Marii Matios z Ukrainy i polskiego reportażysty Wojciecha Tochmana. Regulamin nagrody liberalnie podchodzi do dyskusji na temat granic Europy Środkowej, dopuszczając do rywalizacji przetłumaczone na język polski książki autorów pochodzących z aż 21 krajów. Laureatami poprzedniej edycji nagrody byli: Jurij Andruchowicz, Martin Pollack, Péter Esterházy, Josef Škvorecký oraz György Spiró.

Od dwóch lat przyznawana jest również nagroda dla tłumacza zwycięskiej książki (począwszy od tego roku jej wyłącznym fundatorem jest Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa im. Angelusa Silesiusa w Wałbrzychu). Gala wręczenia nagrody z udziałem nominowanych do finału autorów odbędzie się 3 grudnia we wrocławskim Teatrze Polskim. Reżyserem części artystycznej będzie Tomasz Mann.

W ramach Salonu Angelusa w galerii BWA Awangarda odbędą się spotkania z nominowanymi do finału twórcami: 2 grudnia o godz. 16.00 z Marią Matios, o godz. 17.30 z Wojciechem Tochmanem i o godz. 19.00 z Natalią Babina, 3 grudnia o godz. 14.30 ze Swietłaną Aleksijewicz i o godz. 16.00 z Drago Jančarem.

MARCIN ŻYŁA

Dusza zaklęta w języku

NATALKA BABINA:

Duszy się nie wybiera, poznając nowy język.

Duszy nie można się w ogóle nauczyć czy na nią zapracować. By ją w sobie odkryć, trzeba przejść długą drogę.

MARTA BARTKOWIAK: „Jeśli nauczysz się języka, otrzymasz nową duszę” – czytamy w „Mieście ryb”. Czy w takim razie bohaterowie Pani książki, mieszkający w białoruskich Dobratyczach, na pograniczu kultur i języków, mogą sobie wybrać duszę?

NATALKA BABINA: Te słowa dotyczą prowadzonych przeze mnie obserwacji, kształtowania się duszy społeczeństwa. Gdy dorastałam, warunki życia na Białorusi nie pozostawiały możliwości wyboru tożsamości. Białorusini często uważali się za Rosjan, bo taka była edukacja, wykształcenie, władza. Oficjalnym językiem był rosyjski i po rosyjsku toczyło się życie codzienne. Był to język pierwszego obiegu, pozostałe stanowiły mniejszość. Wśród mieszkańców mojego kraju kwestia mowy pobudza podstawowe pytanie o tożsamość, czyli właśnie o duszę. Znacząc dwa języki, można w takich warunkach pójść różnymi drogami. Jeśli ktoś odgórnie narzuca wybór, jest to duża nieprawidłowość. Oczywiście, duszy się nie wybiera, poznając nowy język. Duszy nie można się w ogóle nauczyć czy na nią zapracować. By ją w sobie odkryć, trzeba przejść długą drogę.

Jakim językiem posługiwała się Pani w domu?
W domu mówiliśmy językiem, którego nie potrafiłam nazwać. Wiedziałam tyl-

ko, że nie jest to rosyjski, który dominował w szkole. Dopiero gdy w wieku około 16 lat natrafiłam na książkę Tarasa Szewczenki „Kobzar”, zrozumiałam, że język z mojego domu to ukraiński. Uświadomiłam sobie, że wychowałam się po ukraińsku, a kultura rosyjska od początku nie była moją kulturą. Polakom czasem trudno to sobie wyobrazić, gdyż są jednolici językowo. Białorusini i Ukraińcy są w zupełnie innej sytuacji i pytania o tożsamość zadają sobie bardzo często.

Kiedy wobec tego odnalazła Pani w sobie białoruskość?

Gdy uświadomiłam sobie ukraińskie korzenie, dostrzegłam, jak ważny dla mieszkańców naszego kraju jest język białoruski. Ze względu na rusyfikację i globalizację tożsamość białoruska ulega rozmyciu. Doszłam do wniosku, że tak nie może być. W podobny sposób, w jaki ja znalazłam swoją duszę, również naród i państwo, w którym żyję, powinny zachować własną. Dlatego robię wszystko, co w mojej mocy, by mieć w tym swój udział.

Bohaterki „Miasta ryb” także działają aktywnie, by ocalić swoją wizję świata, by ocalić Białoruś. Skąd jednak wziął się pomysł na taki tytuł książki?

Pewnego dnia spacerowałam z córką wzdłuż brzegu rzeki, gdy dziecko zauważyło pod powierzchnią wody coś, co określiło mianem „miasta ryb”. Pomyślałam, że to piękna metafora dobra i zła, które przeplatają się w naszym życiu. Na wierzchu jest dobro, gdzieś na dnie zło – miasto ryb, które składa się z dwóch części oddziałujących na siebie. Nie mogą one istnieć oddzielnie, zupełnie jak w życiu nie da się oddzielić dobra od zła.

W Polsce Pani książka jest chętnie czytana i omawiana na spotkaniach. Jaka była reakcja czytelników na Białorusi?

„Miasto ryb” wzbudziło ciepłą reakcję. Ze względu na trudną sytuację językową na Białorusi rzadko dochodzi do drugiego wydania książki, w moim przypadku to się udało – drugi nakład też cieszy się popularnością. Białoruscy czytelnicy podeszli do lektury rzetelnie. Wskazali nawet autorce pewną niedokładność: w jednym z fragmentów napisałam, że bohaterka chwyciła się poręczy, mając rękę w gipsie. Początkowo zaniepokoiłam się takim błędem, lecz szybko pomyślałam o Robinsynie Crusoe, który kiedyś rozebrał się do naga, po czym włożył do kieszeni różne rzeczy. Skoro sam Defoe wypełnił taki błąd, to i mnie mogło się zdarzyć.

Ważną rolę w książce odgrywa polityka, z którą zresztą ma Pani codzienny kontakt jako dziennikarka opozycyjnej, wydawanej po białorusku, gazety „Nasza Niwa”. Czy poruszając tematy polityczne jako pisarka, czuje się Pani swobodniej?

Dziennikarstwo niezależne na Białorusi jest poważne: w kraju dzieje się dużo, ludzie interesują się polityką, więc i dziennikarze zajmujący się nią prezentują wysoki poziom. Niezależni dziennikarze polityczni są świetnie poinformowani i cieszą się szacunkiem w środowisku. Sama, pisząc o polityce, nie czuję się dostatecznie kompetentna. Natomiast w powieści nie dało się uciec od tego tematu. Moja tłumaczka Małgorzata Buchalik, nawiązując do „Miasta ryb”, stwierdziła, że w literaturze białoruskiej polityka pojawia się tak często jak w angielskiej opisy deszczu. Na Białorusi o polityce nie dyskutują tylko ludzie objętni i krótkowzroczni.

Jak ocenia Pani dziennikarstwo na Białorusi?
Jestem dumna z naszego niezależnego dziennikarstwa i z mojej gazety. Dzien-

nikarze „Naszej Niwy” są zolni i odważni, choć pracują w trudnych warunkach. Według badań, aż 62 procent Białorusinów nie wierzy w państwowe media. Wielu z nich czerpie informacje z niezależnych mediów, zwłaszcza z internetu. Z serwisu rosyjskojęzycznej gazety „Bielaruś Siegodnia” (dawniej „Sowietskaja Bielaruś”), utrzymywanej przez administrację prezydenta, korzysta dziennie 4 tysiące osób – 25 razy mniej niż ze strony internetowej „Naszej Niwy”. Osobną kwestią jest niedostateczna znajomość języków obcych na poziomie umożliwiającym korzystanie z mediów zagranicznych, na przykład polskich – tu bariera językowa jest pewnym ograniczeniem.

W październiku napisała Pani w „Naszej Niwie”, że język białoruski mógłby pozytywnie wpłynąć na sytuację ekonomiczną całego kraju. Wspominała Pani o kontraście wobec bardziej skonsolidowanej językowo Ukrainy.

Była to swoista prowokacja – przyczyny kryzysu finansowego są głębokie i leżą, oczywiście, zupełnie gdzie indziej. Prawdą jest jednak, że wydarzenia, jakie zaszły w kraju w wyniku historycznych okoliczności, odciągnęły Białorusinów od ich języka. Zauważam, że Białorusinów coś w środku gniecie, dręczy ich jakaś podświadoma udręka, poczucie winy, żal. Trudno im poczuć się ludźmi współczesnymi i aktywnymi, dlatego że zostali odłączeni od swoich korzeni. Uważam, że nie pozostaje to dziś bez konsekwencji w życiu codziennym. Historyczne losy narodu przekładają się w jakimś sensie na współczesną sytuację ekonomiczną.

„Nasza Niwa” to jedna z niewielu wpływowych opozycyjnych gazet białoruskich publikowanych w języku ojczystym. Początkowo była drukowana →

**NATALKA BABINA:**

Białorusinów coś w środku gniecie, dręczą ich jakaś podświadoma udręka, poczucie winy, żal. Trudno im poczuć się ludźmi współczesnymi i aktywnymi, dlatego że zostali odłączeni od swoich korzeni.

GETTY IMAGES / FPM

Dusza zakłęta w języku

→ **w zgodzie z tradycyjnym wariantem ortografii języka, tzw. taraszkiewicą. Dlaczego redakcja zdecydowała się przejść na oficjalną, szkolną wersję białoruskiego?**

Historia „Naszej Niwy” to w dużej mierze historia Białorusinów jako narodu. W 1906 r. ukazał się pierwszy numer gazety. Od początku było to białoruskie pismo tworzone w ojczystym języku. W 1991 r., gdy wznowiono wydawanie tygodnika, drukowano go w taraszkiewicy. Była to tradycyjna wersja języka białoruskiego – symbol pewnej narodowej idei ojczyzny. Wtedy spełniało to swoją rolę w społeczeństwie.

Po dwudziestu latach państwo się rozwinęło, zmieniły się realia społeczne i, aby krzewić idee niezależnej Białorusi w jak najszerszym wymiarze, postanowiliśmy przejść na oficjalną wersję języka, tę, którą posługiwano się w szkołach. Chodziło o to, aby „Nasza Niwa” stała się bardziej dostępna dla białoruskiego czytelnika. Była to decyzja strategiczna i dziś już można stwierdzić z pewnością, że odnie-

śliśmy jako gazeta sukces. Nakład wzrósł trzykrotnie. Wzrosła także liczba odwiedzin naszej strony internetowej. Gdyby władze nie ograniczały naszego nakładu w druku, byłby on jeszcze wyższy.

Jak wyglądała praca w redakcji po latach milicyjnych w grudniu 2010 r.? Spokoju nie ma: jak to zwykle na Białorusi, jak to zwykle w pracy dziennikarskiej. KGB kilka razy wzywało do siebie redaktora naczelnego. Otrzymał on od służb charakterystykę: „przebiegły”. Było to dość zabawne. Obecnie sytuacja trochę się uspokoiła, lecz zdajemy sobie sprawę, że gdy tylko znów coś będzie się działo w polityce, ponownie dojdzie do nacisków na naszą gazetę. W jakimś stopniu wszyscy się do tego przyzwyczailiśmy.

Skoro to właśnie język nas definiuje, jego stan określać może wszystko, co robimy i kim jesteśmy. Dlaczego prezydent Łukaszenka prowadzi politykę zwalczania języka białoruskiego?

Myszę, że jego postawa to efekt błędnie pojmowanego populizmu. Przed dwudziestu laty Białoruś była w dużym stopniu zrutyfikowana. Prezydent przygotował ustawę, zgodnie z którą rosyjski stał się językiem oficjalnym. Spodziewał się masowego poparcia ze strony narodu. Jednak znalazła się wtedy grupa społeczna, która wywalczyła i ochroniła białoruskość – dziś ta grupa jest jeszcze liczniejsza. Myszę, że jeśli Łukaszenka rozumiałby istotę białoruskości, to nie byłby takim prezydentem, jakiego znamy. Los narodu byłby wtedy bardziej pomyślny, inny niż teraz.

W „Mieście ryb”, niczym ostatni Mohikanin, wyraża Pani nostalgię za przeszłością. Co bezpowrotnie utraciło już Pani społeczeństwo, czego już dziś można żałować?

To trudna kwestia. Życie archaicznego społeczeństwa było zupełnie inne. Wszystko koncentrowało się na pracy – ona była kategorią moralną i sposobem przeżycia. Dziś system pozwala czasem ludziom nie pracować. Myszę, że to źle. Tamta stara, archaiczna cywilizacja była bardziej ludzka... Wszyscy lepiej odnosili się do siebie – dotyczyło to rodziny, miłości, tradycji. Dziś życie rodzinne przybiera, jak się to czasem określa, nowoczesne formy. Jestem przeciwna takim zmianom, to dla mnie jakieś wynaturzenie całej europejskiej cywilizacji.

Również dlatego taką nadzieję pokladam w zachowaniu języka białoruskiego. On skonsoliduje Białorusinów, dzięki niemu nie dadzą się globalizacji. Zachowają duszę. ♦

ROZMAWIAŁA MARTA BARTKOWIAK

Białoruskie Twin Peaks

Oto współczesna Białoruś z perspektywy jej mieszkańców i obywateli – jakże inna od tej powielanej w stereotypowych obrazach, z reżimem Łukaszenki w roli głównej.

Czorta przegania się tu zakrwawioną szmatą, która wcześniej służyła jako podpaska. Kataklizmy, morderstwa, spiski, bandycki biznes i wykopywanie ziemniaków w tajemnicy przed babcią – mieszkańcy Dobratycz doznają ataków nieracjonalnego szaleństwa. Utracono spokój. Został za drutem kolczastym nad rozlewiskami Bugu.

„Wiecie, co to jest granica? Ludzi, którzy na niej mieszkają, rozpoznacie z daleka. Mają w oczach smutek” – wyjaśnia Natalka Babina. Jej Dobratytcze przypominają miasteczko Twin Peaks Davida Lyncha. Niepozorna wioska, gdzie trup ścieci się gesto, a tajemnice, zagadki i fantastyka doskonale się komponują. Miejscowość, zdarzenia, postaci są autorską fikcją. Czas akcji to rok 2012, jednak nawiązania są jak najbardziej współczesne, a podobieństwa do rzeczywistych zdarzeń i osób – co wyraźnie zaznacza autorka – nieprzypadkowe. Choć – uwaga! – w razie przesłuchania wszystkiego się Natalka Babina wyprze.

Dobratytcze to przykład typowej białoruskiej prowincji z okolic Brześcia. Wymyśloną miejscowość pisarka umiejscowiła nieopodal miejsca swojego pochodzenia, wsi Zakazanka. Książka wiernie oddaje folklor i ludowość regionu. Wartościowe są dialogi w przekładzie z lokalnej gwary, z białoruskiego i ukraińskiego. Ziemia, jej historia i tożsamość stanowią klucz do całej powieści. Nostalgia to emocja dominująca, choć tych akurat jest tu cała paleta.

Główna bohaterka książki, Ala Babylowa, to *alter ego* Natalki Babiny. Kobieta po przejściach, zmęczona życiem, która postanawia wrócić do swoich korzeni na Berestejczyźnie, na styku Białorusi, Polski i Ukrainy. Ala kuleje od urodzenia. Z wykształcenia jest historyczką, ma za sobą niespełnione



NATALKA BABINA

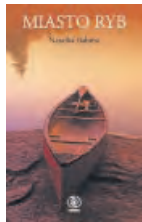
WYDAWNICTWO REBIS

życie rodzinne. Szuka wytchnienia w pracy przy gospodarstwie u boku babci Makryni. Postać staruszki jest archetypem przeszłości, ostatnim Mohikaninem tej ziemi. Ma 97 lat, jest małomówna i skryta, przede wszystkim jednak dumna i świadoma swojej tożsamości. Makrynię cechuje również poczucie humoru: przyjezdnym proponuje do picia wodę w kubku „dizajnersko wysmarowanym kurzym lajnym”. Babcia uosabia dla Aly spokój, który zostaje szybko odebrany, wręcz zamordowany. Podobnie gwałtownie, w wyniku wyznaczenia granicy, zabrano mieszkańcom rzekę Bug. Z zagadki kryminalnej i enigmatycznej kobiety zmęczonej życiem rozwija się fabuła całej książki.

„Witamy w naszej polifonii” – zaprasza Babina do tego świata. Rzecz nie tylko w językowej tożsamości: lektura pozostawia wrażenie świata złożonego, pełnego przeciwieństw i paradoksów, ale i prostych zasad oraz życiowych prawd. Oto współczesna Białoruś z perspektywy jej mieszkańców i obywateli, jakże inna od tej powielanej w stereotypowych obrazach, z reżimem Łukaszenki w roli głównej. Autorka nie uniknęła jednak odniesień do polityki. Siostra głównej bohaterki jest zaangażowana w kampanię wyborczą kandydata opozycyjnego wobec obecnego, wpływowego prezydenta Tarasienki. Walkę o władzę opisuje Babina z pełną szczerością, bez politycznych analiz.

„Miasto ryb” jest szczere – to najważniejsze. Autorka tworzy prawdziwy obraz współczesnej Białorusi, tej z dala od Mińska. Pokazuje dno rzeki, a nie tylko powierzchnię wody. Książka przedstawia obraz realiów tożsamości i kultury pogranicza. Burzy stereotypy. Książka Babiny to zagadka, thriller polityczny, powieść obyczajowa, historyczna, przygotowana i fantastyka w jednym. W niuansach fabuły kryją się: groza, czarny humor i groteska. To białoruski postmodernizm, powieść polifoniczną przywodzącą na myśl Dostojewskiego. Trudno też oprzeć się wrażeniu podobieństwa pisarstwa Babiny do twórczości Olgi Tokarczuk. Bohaterowie, przyroda i otoczenie są opisane szczerą, barwną kreską. Książkę czyta się szybko ze względu na brawurowe tempo akcji. Fikcja przeplata się z rzeczywistością, a terażniejszość z przeszłością. Wszystko dzięki włączeniu do współczesnej fabuły historycznych zagadek, skarbu lwowskiego jubilera oraz tajemniczych nor w czasie. „Uwielbiam nory w czasie. Kiedy wgrzynam się w przejrzyste plastry czwartego wymiaru, niekiedy wciąż jeszcze słyszę szept ziemi. Ale rzadko” – nostalgicznie intonuje autorka na kartach powieści.

Natalka Babina – Białorusinka pochodzenia ukraińskiego – jest pisarką i dziennikarką gazety „Nasza Niwa”. Do tej pory napisała dwie książki: zbiór opowiadań „*Krywi nie pawidna być widna*” (2007) oraz powieść „Miasto ryb” (2007, polski przekład Małgorzaty Buchalik opublikowało trzy lata później wydawnictwo Rebis). Urodziła się w 1966 r. w wsi Zakazanka niedaleko Brześcia. Z wykształcenia jest inżynierem-elektroinikiem. Tworzy w języku białoruskim i ukraińskim. Obecnie jako dziennikarka „Naszej Niwy” zajmuje się tematami społeczno-kulturalnymi, często nawiązując do kwestii związanych z językiem i tożsamością.



♦ Natalka Babina, „Miasto ryb”, tłum. Małgorzata Buchalik, Rebis, Poznań 2010

MARTA BARTKOWIAK

KSIĄŻKI FINALISTÓW

Kobieta czuje zapach wojny

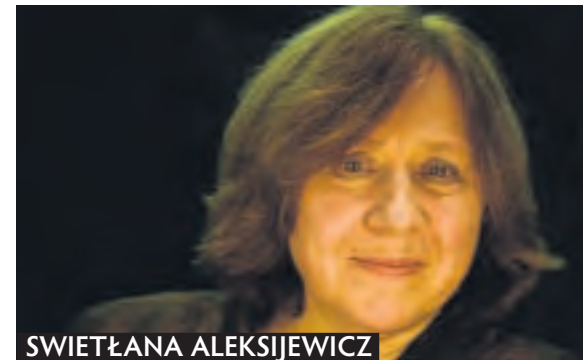
W ZSRR mężczyźni uważali, że wojna to ich sprawa. Kobiety, które walczyły na froncie, uważano za „brudne”. Swoją książką Swietłana Aleksijewicz przywróciła im godność i upomniała się o ich miejsce w historii.

Dla społeczeństwa radzieckiego książki Aleksijewicz były rodzajem psychoterapii. Pisarka dotykała bowiem tematów tabu: ówczesne normy polityczne i kulturowe nakazywały ludziom radzieckim zapomnieć m.in. o udziale kobiet w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, o ofiarach radzieckiej interwencji w Afganistanie (chłopcach, którzy wracali z wojny w cynkowych trumnach) czy ofiarach tragedii w Czarnobylu. Uczestnicy tych wydarzeń dusili więc traumy w sobie, „leczyli” się alkoholem. Kiedy w drzwiach ich domów pojawiała się Aleksijewicz, nie zawsze witali ją z entuzjazmem, czasem nie wpuszczali za próg (ale potem często dzwonili i mówili: „jednak przyjdź”).

Radzieckiemu społeczeństwu, wychowywanemu na pionierów i tytanów pracy, trudno było mówić o bólu i własnych słabościach. Lepiej – tak jak kazala im wierchuszka – zapomnieć. Ale kiedy ludzie przełamywali swój lęk i zaczynali mówić, w ich oczach pojawiały się łzy. Przyznawali wtedy, że oszukało ich państwo, że zawsze chcieli podzielić się swoją historią z kimś innym, że dotąd czuli się wykluczeni... Kiedy czytali opublikowane już fragmenty książki Aleksijewicz, zdarzało się im zaprzeczać, że to ich opowieści. Niektórzy wuszczali nawet procesy sądowe przeciwko pisarce – ale potem, na sali sądowej, znów wybuchali płaczem i mówili: „tak, to wszystko moje, moje”.

Nie inaczej było z kobietami, bohaterkami książki „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”. Im również nie było łatwo przyznać się, że publikacja składa się z ich prawdziwych opowieści, setek narracji nagrywanych przez Aleksijewicz na dyktafonie, potem spisywanych, i tworzonej z nich relacji, pisanej w pierwszej osobie.

Kobiety zniknęły z oficjalnej radzieckiej historii wojennej. Po 1956 r. – kiedy na XX zjeździe KPZR Nikita Chruszczow spojrzal na nowo na politykę Stalina, zaczęto też inaczej mówić o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Wspominanie o tym, że walczyły w niej również kobiety, było nietaktem. W nowej narracji historycznej nie było miejsca na pamięć o kobietach. *Pobieda* (Zwycięstwo) – filar, na którym ludzie radzieccy budowali swoją tożsamość – należała jedynie do mężczyzn. To oni kroczyli dumnie w czasie parad 9 maja. Aleksijewicz



SWIETŁANA ALEKSIIJEWICZ

ANDRZEJSIOOR / FORUM

przywróciła pamięć o „wojnie kobiet”: jej książka ukazała się w czasach pierestrojki, odwołał się do niej w jednym ze swoich przemówień sam Michail Gorbaczow, powtarzając: „wojna nie ma w sobie nic z kobiety”.

Na frontach II wojny światowej radzieckie kobiety były nie tylko pielęgniarkami czy telegrafistkami, walczyły także jako snajperki, lotniczki, saperki, słowem – wcielały się we wszystkie role tradycyjnie przypisane mężczyznom. Przed wojną nie umiały prowadzić samochodu, ale na froncie nauczyły się jeździć pojazdami bojowymi, zabijać, stały się odporne na ból. Żołnierki straciły kobiece wizerunek – w waciakach, walonkach, zawsze, brudne, śmierdzące, wciąż jednak czuły

się kobietami. W książce Aleksijewicz umieszcza przejmujący fragment: kroczy batalion, wiele żołnierek ma mięsiaczkę. Brakuje środków opatrunkowych, więc po ich nogach cieknie krew. Kobiety czują się upokorzone, dochodzą do źródła wody, i choć trwa bombardowanie, choć mężczyźni chowają się przed ostrzałem, one zaczynają się myć.

W opowieści Aleksijewicz wiele jest wspomnień kobiet-radzieckich patriotek, które same zaciągały się na front, mówiły o obowiązku wobec ojczyzny, o tym, że skoro ich narzeczeni poszli walczyć, one też nie mogły zostać w domu. Wysłuchując ich wspomnień pisarka doszła jednak do wniosku, że w rzeczywistości żadna z nich nie chciała iść na wojnę, bo jak to tak: najpierw zabijać, a potem rodzić dzieci? Kobieta nie jest stworzona do walki. Aleksijewicz pisze, jaką traumą było dla jej bohaterki zabicie i zjedzenie żrebaka („był taki ładny”, wspominały). Żołnierki czuły zapach wojny, zapamiętywały śmierć ludzi, zwierząt i widok spalonej ziemi. Po wygranej bitwie ciężko im było wypić „sto gram” za zwycięstwo. O swoim udziale w walkach kobiety musiały milczeć, jeśli tylko chciały wyjść za mąż (o uczestniczkach wojny często mówiło się jak o kobietach źle się prowadzących). W czasach pokoju musiały na nowo uczyć się kobiecości – chodzenia w butach na obcasie i w sukience. I do tych czasów nie umiały się już dopasować. Thumione wspomnienia wojenne powracały choćby w snach.

MAŁGORZATA NOCUŃ



♦ Swietłana Aleksijewicz, „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”, tłum. Jerzy Czech, Czarne, Wołowiec 2010

Dom, który pamięta

Historia może zrobić z człowiekiem wszystko – ocalić, odrzucić, wyprzeć się go, pocieszyć. Dom opisywany przez Erpenbeck w „Kluczu do ogrodu” zamienia się w świadectwo zmagania między ową prywatnością a historycznością.

Ogród jako miejsce symboliczne pojawił się już wcześniej w innej książce Erpenbeck – wydanym trzy lata temu „Słowniku”. Był tam synonimem bezpieczeństwa i sytości, czymś niedostępnym, choć dokładnie wyobrażonym. Kojączył się z ukochaną nianią bohaterki, postacią niezwykle znaczącą, bo uważaną – jak się później okazało – za jednego prawdziwy punkt odniesienia. Wszystko inne było pełne fałszu, a to, czego nie dało się zobaczyć, stało się nadzieją na odrzucenie kłamstwa. Czytaliśmy: „Nigdy nie widziałam ogrodu mojej niani”. Życiorysy, co odkryje dziewczynka, dało się wymazać i ów brak tożsamości stał się największym problemem. Totalitaryzm nie liczy się z jednostką. Nic więc dziwnego, że bohaterka otrzymała lekcję, jakiej zapewne nigdy nie chciałaby doświadczyć. Bolało nie tylko to, czego dowiedziała się o sobie, raniło również to, kim okazała się kiedy dotychczas uważani za najbliższych. Budowanie na gruzach nie zawsze jest możliwe, a bywa, że czytanie z ruin odsłania kolejne dramatyczne fakty z przeszłości.

Nie inaczej jest w „Kluczu do ogrodu”. To druga książka niemieckiej autorki ukazująca się w Polsce. W powieści wraca problem miejsca, czasu i tożsamości. Zwykły człowiek często nie ma wpływu na to, co się z nim stanie. Erpenbeck, przyglądając się jednemu domowi i losom konkretnych ludzi, opowiada tak naprawdę o tym, co stanowi potencjalne doświadczenie każdego. Szczęście może zniknąć za sprawą cierpienia, strach może być wyższością dzięki bliskości drugiego człowieka, wspomnienie może okazać się ciałem żywe, a to, co przeminęło, tak naprawdę bywa często wyraźniejsze od tego, co jest lub co nastanie. Autorka skupia się na fragmentach życiorysów tych, którym zdarzyło się mieszkać lub przebywać w domu, wokół którego skupia się wszystko to, co najistotniejsze dla opowieści. Zwykły człowiek zostaje zderzony z Wielką Historią. →

KSIĄŻKI FINALISTÓW



BEVOULF SHEEHAN / ZUMA PRESS / FORUM

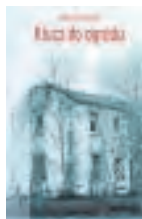
→ To ona swoim bezlitosnym kaprysem zmusza go do ukrywania się, ucieczki, wyjazdu. Wydarzenia, na które bohaterowie nie mają wpływu, kształtują ich egzystencję. Miarą życia okazuje się więc przypadek. Nie da się w pełni zaplanować własnych losów, gdyż każdy, czy tego chce, czy nie, jest nie tylko człowiekiem prywatnym, ale i historycznym. Hierarchicznie rzecz ujmując, to właśnie Historia może zrobić z człowiekiem wszystko – ocalić, odrzucić, wyprzeć się go, pocieszyć. Dom opisywany przez Erpenbeck zamienia się więc w świadectwo zmagania między ową prywatnością a historycznością.

Choć ci, którzy w nim mieszkają, tak naprawdę stają się także gośćmi. Dom bowiem pamięta głosy innych osób, kolekcjonuje doświadczenia, przeżycia, uczucia, namiętności. Jest niemiłym kronikarzem tego, co właśnie w tym miejscu się wydarzyło. Pamięta kolejnych mieszkańców. Przechodzi z rąk do rąk, ale jednocześnie stanowi coś nienaruszalnego we wszechogarniającym chaosie. Dom jest sprawiedliwy, bo odnotowuje wszystkich: i tych, którzy myśleli, że są tutaj na stałe, i tych, którzy byli tu krótko. Miejsce zostaje naznaczone Historią – to wojna zwykle zmusza ludzi do podejmowania trudnych decyzji o odejściu, ale i intymnością – ściany dobrze pamiętają emocje, miłość, nienawiść, rozpaczliwe szukanie ocelenia w ciele drugiego człowieka. Bohaterowie opowieści Erpenbeck nie umieją domu zapomnieć, dom zaś – w rewanżu, można by rzec – także nie zamierza ich wymazać ze swojej milczącej pamięci.

Przeszłość ocalona dzięki domowi to przede wszystkim bardzo uczciwe wspomnianie. Dla domu nie ma znaczenia narodowość mieszkańców, pleć czy wykonywany zawód. Wiecznie otwarty, zostaje odarty z możliwości wyboru. Nie wybrzydza, nie krytykuje, ale pamięta. Wszystkich. Mieszka się więc tutaj pamięć rosyjska, niemiecka, żydowska, gdzieś w tle słychać echo dawnych śmiechów, ale i tłumione łkanie, krzyk przerażenia sąsiaduje z namacalną wręcz ciszą, lekceważenie z szacunkiem. Dom przypomina żywe stworzenie. Nie tylko gromadzi, nie tylko jest kronikarzem nieuchwytnego, także czuje i także się angażuje. Dlatego wymaga opieki: „Zamknąć dom. Zamknąć, a klucz pozostawić w zamku. Żeby nie złamali mu żadnego ząbka. Żeby nie połamali drzwi, żeby tylko nie pogięli albo nie rozpiłowali krat, którymi zabezpieczono jest szkło w drzwiach wejściowych, te kraty są pomalowane na czarno i czerwono, tak samo jak kraty w wyposażonej przez niego Akademii Szybowcowej Rzeszy, którą wysadzili już po zakończeniu wojny, nikt nie wiedział dlaczego”.

Jest za nim przeszłość, jest w nim dogorywająca teraźniejszość, czy ma szansę na przyszłość? Czy opiekując się domem ogrodnik zdola przekazać komuś swoje obowiązki? Dziedziczenie pamięci to przecież nie tylko zadanie odpowiedzialne, ale i obwarowane wieloma traumami. Może więc następny nie będzie, ostatni świadek kiedyś opuści dom, ten zaś osamotniony zniknie z powierzchni ziemi... Erpenbeck nie proponuje optymistycznego końca, bardziej prawdopodobne wydaje się przypięczenie przemijania. Zniknie dom, znikną też ślady po ludziach. Pamięć natomiast może nie unieść ciężaru wspomnień.

BERNADETTA DARSKA



● Jenny Erpenbeck, „Klucz do ogrodu”, tłum. Eliza Borg, wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2010

Koniec historii

Historyczna podróż ze współczesnością w tle w ujmujący sposób ukazuje ludzką samotność i skalę losu, z którym mierzą się bohaterowie Drago Jančara... i wszyscy Europejczycy.

Kiedy rok temu zapytano Drago Jančara o porównanie człowieka XVII-wiecznego i współczesnego, słoweński pisarz odparł, że przez ten czas z pewnością nie zmieniły się ludzkie namiętności i lęki. „Dziś nie jesteśmy jednak lepsi, lepiej tylko maskujemy się i kłamiemy. Niebo nad nami jest teraz puste”, mówił.

To ważne spostrzeżenie, zwłaszcza w kontekście nominowanej do Angelusa powieści „Katarina, paw i jezuita”, której akcja rozgrywa się w XVIII stuleciu, w epoce niepokojów społecznych i religijnych. Dążenia do Boga oraz jedności, symbolizowane przez wędrujących ze Słowenii do katedry w Kolonii bohaterów tej książki, są elementem zakrojonych na szeroką skalę (i trwających już ponad 40 lat) Jančara literackich poszukiwań Europy. Większość jego powieści dotyczy konkretnych wydarzeń i okresów historycznych w dziejach Europy Środkowej, na podstawie których autor snuje rozważania na temat kondycji ludzkiego ducha. Swoje projekcje na temat kultury i tożsamości naszego kontynentu ubiera jednak Jančar w wiele kostiumów: oprócz historii jest autorem świetnie przyjętych przez krytykę dramatów oraz aktywnym uczestnikiem debat na tematy współczesne. W pamięci europejskich intelektualistów wciąż jest żywe wspomnienie jego ostrego sporu z austriackim pisarzem Peterem Handkem, który w latach 90. prowadził na temat konfliktu w byłej Jugosławii i dyktatury Slobodana Miloševića.

Dla Jančara zjednoczona Europa jest pełna podziałów i nierówności. Trudna historia Europy Środkowej doprowadziła do narodzin międzyludzkiej solidarności, ale to właśnie dramaty poprzednich epok pozostają, zdaniem pisarza, najważniejszym spoiwem łączącym kraje naszego regionu. Historia w jakimś sensie się skończyła w chwili, w której wszyscy staliśmy się na nowo swoimi sąsiadami. „Europa Środkowa już nie istnieje”, mówił niedawno w Brukseli, cytowany przez internetowy portal neurokultura.pl. W odróżnieniu od innych literackich piewców regionu, dla których punktem odniesienia są marginalne miejsca (Stasiuk) czy zapomniane przedmioty (Pollack), Jančar w swoje najodważniejsze poszukiwania wyrusza w świat dalekiej przeszłości.

Słowenia zawsze była dla niego punktem wyjścia. Od najmłodszych lat i okresu studiów prawniczych, Jančar postrzegał siebie jako krytyka społeczeństwa i współczesnego świata. W 1974 r., oskarżony o szerzenie wrogiej propagandy, na kilka miesięcy powędrował do więzienia. Poszło o książkę na temat powojennej masakry Słoweńców dokonanej przez oddziały Tity, którą pisarz przywoził z Austrii. W 1988 r., w czasie protestu grupy młodzieżowych aktywistów i dziennikarzy oskarżonych przez władze jugosłowiańskie o ujawnienie tajemnic wojskowych, był jednym z organizatorów pierwszej od 1945 r. opozycyjnej manifestacji politycznej w Lublanie. W czasie zmian ustrojowych i po uzyskaniu przez Słowenię niepodległości, jako szef miejscowego PEN Clubu (1987-93) wspierał rozwój życia intelektualnego w młodym kraju. W 1993 r. został laureatem prestiżowej słoweńskiej nagrody literackiej Franca Prešerena.

W czasach wojen wywołanych rozpadem Jugosławii pisarz głośno wyrażał swoje opinie: jego „Krótki raport z długiego oblężonego miasta” napisany po pobycie w Sarajewie był antytotalitarnym manifestem twórcy i aktem oskarżenia przeciw jugosłowiańskim i europejskim intelektualistom, którzy jego zdaniem byli współodpowiedzialni za koszmarny odrodzonego nacjonalizmu. Głośnym esejem „Ksenos i ksenofobia”, opublikowanym w 2000 r. w lublańskim dzienniku „Delo”, wywołał kontrowersje: oskarżył liberalne media o wzbudzanie ksenofobii i antykatołyżizmu.

Od zawsze interesował się polityką i przemianami dokonującymi się w jego kraju. W swoich dziennikach notował: „Poezja i język nie są wyłączone kwestią estetyki, lecz w tej chwili przede wszystkim etyki, twardego obowiązku”. Jančar jest bystrym obserwatorem ludzkiej egzystencji, zwłaszcza jej tragicznego wymiaru. „Katarina, paw i jezuita”, historyczna podróż ze współczesnością w tle, opowieść o miłości na



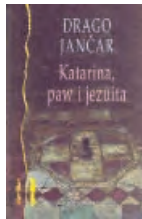
ANTASCHIFFER - FUCHS / FORUM

DRAGO JANČAR

tle dziejowej zawieruchy, w ujmujący sposób ukazuje ludzką samotność i skalę losu, z którym mierzą się bohaterowie powieści... i wszyscy Europejczycy.

Ostatnie dni przyniosły informację o przyznaniu Jančarowi tegorocznej prestiżowej Europejskiej Nagrody Literackiej (Prix Européen de Littérature), przyznawanej pisarzom o „międzynarodowej randze, świadczącym o kulturalnym ładunku Europy”. Jury doceniło rolę, jaką odegrał w uzyskaniu przez Słowenię niepodległości w 1991 r., oraz całokształt jego twórczości w okresie ostatnich 20 lat. Ceremonia wręczenia nagrody odbędzie się w marcu 2012 r. w strasburskim ratuszu.

MARCIN ŻYŁA



● Drago Jančar, „Katarina, paw i jezuita”, tłum. Joanna Pomorska, wydawnictwo Pogranicze, Sejny 2010

Sultan w kraju orła

Groza i narastające napięcie pobudzają w „Ślepych fermannie” emocje znane pisarzom środkowoeuropejskim: strach przed wszechwładzą państwa i własnymi sąsiadami oraz natarczywą myśl o tym, jak samemu stać z boku, kryjąc się przed przenikliwym wzrokiem władzy.

Ismail Kadare – od 40 z górą lat jeden z najbardziej rozpoznawalnych w świecie ambasadorów kultury Albanii – specjalizuje się w opisywaniu przeszłości. Pisarz, który w 2005 r. został laureatem pierwszej edycji nagrody Brookera i co roku wspomniany jest jako kandydat do literackiego Nobla, potrafi jak nikt inny, z pedantyczną dokładnością i delikatnością poety równocześnie, przynieść nas w czas, które choć dawno minęły, w samej „krajnie orła”, jak nazywają swój kraj Albańczycy, wracają bynajmniej nie tylko w nostalgicznym wspomnieniu.

Po „Pałacu snów”, za który Kadare był już raz, w 2007 r., nominowany do nagrody Angelusa, w „Ślepych fermannie” czytelnik ponownie zabierany jest w podróż do czasów, gdy na Bałkanach rządzilo imperium osmańskie. Na książkę złożyły się trzy autonomiczne minipowieści, napisane w latach 70. i 80. Tytułowy „Ślepy ferman” to rzecz o zarządzeniu sultana, który po serii nieszczyśliwych wypadków w państwie nakazuje, aby wszystkich poddanych o „złym” wzroku, których można podejrzewać o to, że rzucąj urok, pozbawić oczu. „Pokolenia Hankonatów” stanowią zwięzłą kronikę dziejów jednego z rodów mieszkających w mieście Gjirokastra (z którego pochodził sam Kadare), przedstawiająca jego losy na przestrzeni prawie 200 lat. Ostatnia część książki, „Uczta pojednania”, opowiada o przygotowaniach do organizowanego przez sultana wielkiego zjazdu wodzów klanowych, który ostatecznie okazuje się fortem obliczoną na ich zamordowanie i zduszenie albańskich dążeń niepodległościowych.

Wszystkie części książki powstały w czasie rządów dyktatora-utopisty Envera Hodży, który uzbudził albańskie plaże w wojskowe bunkry i zakazał religii. Kadare, choć miewał kłopoty z cenzurą, jako poseł do Zgromadzenia Ludowego mógł wyjeżdżać i publikować za granicą. Inna więc jest jego perspektywa, inne spojrzenie na mentalność rodaków niż choćby to, które w „Krótkim podręczniku przekraczania gra-

nic” zaprezentował niedawno polskim czytelnikom Gazmend Kapllani. „Ślepy ferman” zdaje się być uwolniony od trosk znanych pokoleniu dorastającemu w komunizmie, a znajomość realiów politycznych totalitarnego państwa wyraźnie pomaga autorowi w opisie mechanizmów władzy dawnego imperium sultana.

Choć nostalgiczna pamięć o wielonarodowym imperium osmańskim na Bałkanach ma wiele wspólnego z galicyjskim wspomnieniem o dobrym „cysorzu”, ówczesne obyczaje i styl życia, a także świat wewnętrznej wyobraźni, która izoluje postaci ze „Ślepego fermanu” od Europy, przeżyły ostatniego władcę ze Stambułu o wiele dekad. Bałkańską *splendid isolation* (nie ma bowiem wątpliwości, że Kadare pisze o niej w ciepłym tonie) ilustrują w książce strzępki dziwnych informacji docierających do powieściowej Gjirokastry w 1793 r. o dalekim „francuskim sultanie, któremu ścięto głowę” czy późniejszych sensoryjnych wieści o „ledwo dorosłym od ziemi francuskim paszy imieniem Napollon”, przez którego w Europie „powstał straszliwy zamęt i wszystko stanęło na głowie”. Zachód, z którego wieści przynoszą karawany kupieckie, jest dla mieszkańców Albanii tak samo odległy jak położona w Arabii Mekka, do której z pielgrzymką wyprawia się jeden z członków rodu Hankonatów – ze świętego miejsca przywozi zaś z powrotem tylko ciężką chorobę skóry. Kawa sprowadzana nad Adriatyk z Jemenu, coroczne ogłoszenia podatkowe władzy, na które czeka się z niecierpliwością i niepokojem, czy zwolnienie Strażnika Księżyca, który nie ostrzegł w porę przed zaćmieniem, to obrazy, które zabiera się ze sobą do kolejnej epoki, w równym stopniu część tradycji, co legendy. Świat zewnętrzny dociera do ukrytej w górach Albanii tylko raz w roku: gdy władza ogłasza nowe podatki.

W książce Kadare tęsknota za dawnymi czasami ma jednak również odcień niepokojącej wieloznaczności. Obraz państwa sprawnie rządzonego przez sprawiedliwego sultana jest zestawiony z zamieszaniem wywołanym zabobonem o „złych oczach”. Na polecenie władcy w całym kraju powstają specjalne biura mające oceniać wzrok wszystkich podejrzanych, zachęca się również poddanych do wysyłania donosów. Groza i narastające napięcie pobudzają w „Ślepych fermannie” emocje znane pisarzom środkowoeuropejskim: strach przed wszechwładzą państwa i własnymi sąsiadami, oraz natarczywą myśl o tym, jak samemu stać z boku, kryjąc się – *nomen omen* – przed przenikliwym wzrokiem władzy.

W „Ślepych fermannie” wzrusza zmysłowość i obyczajowość tamtej epoki. Opowieść o złowieszcym dekrecie (tytułowym fermannie) toczy się w tle rodzinnych spotkań odbywanych w pięknych, tureckich wnętrzach domu rodowego oraz wielonarodowego świata, w którym niektóre rodziny „wyznają dwie religie naraz”. Przenikają tu jednak i złowieszcze echa Orwella: trudno uniknąć dreszczu, gdy jeden z bohaterów opowiada o wewnętrzny okólniku, na podstawie którego można rozpoznać złe oczy – albo w chwili, gdy dwoje świadomych już swojego losu kochanków leży w milosnym uścisku i obiecuje sobie nawzajem uprawiać w przyszłości miłość w całkowitej ciemności. Ślepy ferman – metafora totalitary-



MICHAEL OREAN / VISUM / FORUM

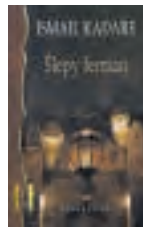
ISMAIL KADARE

zmu – bierze swą siłę z zawartych w nim niejasności. Sprawa, że wszyscy podejrzewają się nawzajem, nikt nie jest wolny od strachu, każdy czuje się winny.

Strach bohaterów przed spojzeniem sobie nawzajem w oczy to obraz, którego łatwo się nie zapomina. Na długo zapadają też w pamięci inne przywołania użyte przez pisarza: wspomnienie starej albańskiej pieśni o żołnierzu, który w ostatnich słowach przed śmiercią błaga orły, aby nie ruszały jego oczu, czy rozmowa o metodzie oślepiania przez wystawienie oczu na słońce. „Cieszysz się blaskiem nieba i morza i nagle tracisz

to wszystko na zawsze”, martwi się jedna z bohaterek. A gdy czas obowiązywania sultańskiego zarządzenia o wylupianiu oczu już minął, najbardziej przerażający jest u Kadara widok nowych ślepców, którzy na nowo zapelnili stambulskie kawiarnie.

MARCIN ŻYŁA



● Ismail Kadare, „Ślepy ferman”, tłum. Dorota Horodyska, wydawnictwo Pogranicze, Sejny 2010

Krnąbrna Hucułka

Maria Matios, autorka „Śłodkiej Darusii”, nie daje o sobie zapomnieć doniesieciu władzy i tępi ją za upokorzenie ukraińskości.

Jest 8 września 2011 r. Rada Najwyższa Ukrainy przyjmuje ustawę o zakazie noszenia ubioru militarnego, a ukraińskie portale społecznościowe obiegają zdjęcia Marii Matios – w moro, na czołgu, w ukraińskich Karpatach. To tylko jedna z akcji wymierzonych w ekipę z Donbasu, która u władzy jest już prawie dwa lata i jako pierwsza nad Dnieprem z premedytacją tępi wszelkie przejawy ukraińskości. Swego czasu pisarz Jurij Andruchowycz ostrzegał, że „donieccy”, którzy historycznie nie mają nic wspólnego z ukraińskością, tradycjami demokratycznymi i kulturą polityczną, chcą panować we wszystkich sferach życia.

Łatwym celem stała się Maria Matios, krnąbrna góralka z Bukowiny, która doniesieciu władzy jeśli nie nienawidzi, to na pewno nie darzy sympatią, bo ekipa ze Wschodu kraju upokarza ukraińskości – od ustawowego ograniczania języka ukraińskiego w telewizji, po eliminowanie ze szkolnictwa nowej literatury ukraińskiej, powstałej u schyłku i po rozpadzie Związku Radzieckiego. Uosobieniem nie i wrogiem numer jeden ukraińskich intelektualistów jest Dmytro Tabacnyk, minister oświaty i nauki, który od marca 2010 r. konsekwentnie nawet nie rusyfikuje, lecz sowietyzuje ukraińską kulturę i edukację. Gdy Matios dowiedziała się, że ów doktor nauk historycznych (sic!) został ministrem edukacji, nazwała go „czarnym ukrainofobem, człowiekiem o brudnych rękach i brudnym sumieniu”. Tabacnyk zasłynął z usunięcia z podręczników dla uczniów szkół podstawowych informacji o „pomarańczowej rewolucji” sprzed 7 lat.

Maria Matios lekkiego życia nie ma. Pod koniec ubiegłego roku funkcjonariusze lwowskiego Wydziału Spraw Wewnętrznych wtargnęli do jednego z wydawnictw w celu usunięcia z obiegu książki Matios zatytułowanej „Wybrane karty z autobiografii”, nominowanej zresztą do Nagrody im. Szewczenki w 2010 r. „Historia niepodległej Ukrainy nie zna żadnego przypadku próby wycofania ze sprzedaży książki laureata Nagrody im. Szewczenki z pomocą organów ścigania, w dodatku w taki »oryginalny« sposób!” – napisała wówczas do prokuratora generalnego zbulwersowana autorka. Książki ze sprzedaży nie wycofano, a po kilku tygodniach w zachodniej prasie nagonka ucichła, aż „sam” Wiktor Janukowycz zaprosił ją na spotkanie. *Nota bene*, najwyższą pisarską nagrodę im. Szewczenki Maria Matios dostała w 2005 r. właśnie za „Śłodką Darusię”.

Dlaczego „donieccy” tak nie lubią Marii Matios, można się tylko domyślać. Na pewno jest ona nośnikiem ukraińskiej kultury, obcej i niezrozumiałej dla donieckich górników, metalurgów i pracownikóbylch gigantów radzieckiego przemysłu. Ale póki ukraińskie władze książek Marii Matios nie palą, warto przeczytać jedną z najważniejszych, czyli „Śłodką Darusię”.

Książka składa się z trzech części-dramatów: codziennego, wcześniejszego i głównego. Akcja rozgrywa się gdzieś na Huculszczyźnie, a tytułową bohaterkę poznajemy jako starą, czeremoszniacką, zdziczałą sierotę, o której miejscowe gaździny mówią, że jest głupia. Ale ona nie jest głupia, bo wszystko rozumie, tylko „ślodka”. A może i nawet ślodka nie jest, bo słodczyta się jak diabeł święconej wody. Z Daru-



MACEJRAKOWSKI / AGENCJA GAZETA

MARIA MATIOS

sią nikt nie rozmawia, bo za niemową ją biorą, mimo że i to prawdą nie jest.

Tak, od dramatu codziennego dochodzimy do wcześniejszego, gdy do Darusi w kwiecie wieku niejaki Iwan Cwiek przystaje. Władzy radzieckiej nienawidzi, bo mu Sowietki matkę zabrały po wojnie i zakatowali, chaty pozbawili, sierotą uczynili. Ale, że to dramat wcześniejszy, sowiecka władza panuje na huculskich poloninach. Iwan władzy podpada i trafia na posterunek. Pech chce, że dobrotliwy sierżant daje mu nieszkodny mundur i w nim Cwiek zjawia się u Darusi. Niemowa widząc go, przemawia: „idź, Iwanie”. I znów zostaje sama.

Najważniejszy jest dramat główny, okres dzieciństwa Darusi, czasy walki nowej władzy radzieckiej z ukrywającymi się po karpackich lasach oddziałami OUN-UPA, walczącymi o niepodległą Ukrainę. Pewnej nocy małutką Darusię budzą w nocy „wujkowie”, którzy do ojca po jedzenie przychodzą. Jakis czas później radziecki towarzysz wypytuje małutką Darusię o nocnych, nielubiących Sowietów gości. Mówiąc prawdę, dostaje w zamian lizaka, a towarzysz krzyczy do ojca, że Sowietów nikt nie oszuka. Rozpoczyna się dramat całej rodziny.

„Śłodką Darusię” czyta się świetnie. Prosty język, banalne wręcz prawdy wiejskich gaździnek, których dialogi pojawiają się w poszczególnych dramatach niczym didaskalia, sprawiają, że historii Darusi „się słucha”. To opowieść o ukraińskim narodzie, historichal przez lata zakazanych, o złamanych przez Sowietów życiorysach, przetrąconym kregosłupie →

LAUREACI POPRZEDNICH EDYCJI ANGELUSA

Literacka Nagroda Europy Środkowej Angelus jest przyznawana corocznie za najlepszą książkę prozatorską opublikowaną w języku polskim w roku poprzednim. Nagrodę stanowią: statuetka Angelusa autorstwa Ewy Rossano oraz czek na kwotę 150 tys. zł. Od czwartej edycji konkursu specjalną nagrodę otrzymuje również tłumacz zwycięskiej książki (jeżeli laureatem zostaje pisarz polski, jury podejmuje decyzję o przyznaniu nagrody dla tłumacza jednej z książek zagranicznych nominowanych do finału).

Laureatem pierwszej edycji nagrody (za rok 2005) został popularny w Polsce ukraiński pisarz i poeta **Jurij Andruchowycz**, którego nagrodzono za powieść „Dwanaście kregów” – quasi-kryminalną opowieść o współczesnej Ukrainie osnutą na kanwie wymyślonego „alternatywnego życiorysu” ulubionego poety autora, Bohara Ihora Antonyca.

Statuetkę za 2006 r. odebrał **Martin Pollack** z Austrii, znany czytelnikom przede wszystkim z nostalgicznymi wędrowek literackich po Europie Środkowej. Doceniona przez jury Angelusa „Śmierć w bunkrze” opowiada o ojcu pisarza, w czasie wojny wysokim funkcjonariuszu SS, który zginął tuż po wojnie w tajemniczych okolicznościach pod alpejską przełęczą Brenner.

Péter Esterházy zwyciężył w trzeciej edycji Angelusa. Statuetkę zapewniła mu wydana w Polsce w 2007 r. książka „Harmonia caelestis”, w której pisarz opisał historię swojego kraju i Europy poprzez pryzmat dziejów swojej rodziny – jednego z najbardziej znaczących rodów węgierskich.

Laureatem nagrody za rok 2008 został **Josef Škvorecký**, czeski pisarz i tłumacz mieszkający na stałe w Kanadzie. Nagrodzone Angelusem „Przypadki inżyniera ludzkich dusz” to opowieść o pół wieku totalitaryzmów w naszej części Europy, napisana bez patosu, z humorem i ironią.

Triumfotorem ubiegłorocznej gali Angelusa był węgierski pisarz i dramaturg **György Spiró**. Doceniono go za powieść „Mesjasze”, której akcja toczy się w środowisku polskiej emigracji we Francji w połowie XIX w.

JURY NAGRODY ANGELUS

NATALIA GORBANIEWSKA (ur. 1936) – przewodnicząca jury. Rosyjska poetka, dziennikarka, tłumaczka literatury polskiej, działaczka społeczna. W latach 1969-71 uwięziona za udział w 8-osobowej demonstracji na moskiewskim placu Czerwonym przeciwko wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji. Dedykowaną jej piosenkę wykonywała w latach 70. Joan Baez. Z ZSRR wyemigrowała w 1975 r. Pracowała jako dziennikarka w Radiu Swoboda, współpracowała z rosyjskimi pismami emigracyjnymi, jest tłumaczką miesięcznika „Nowaja Polska”.

STANISŁAW BEREŚ (ur. 1950) – historyk literatury, eseista, poeta, tłumacz. Profesor polonistyki i dziennikarstwa Uniwersytetu Wrocławskiego, były juror Nagrody Literackiej Nike, do 2003 r. redaktor miesięcznika „Odra”. Opublikował m.in. książki-wywiady ze Stanisławem Lemem (1987), Tadeuszem Konwickim (1987), Andrzejem Sapkowskim (2006), a także „Historię literatury polskiej w rozmowach. XX–XXI wiek” (2002).

PIOTR KĘPIŃSKI (ur. 1964) – poeta, krytyk literacki, pracował m.in. w „Czasie Kultury” i „Dzienniku” oraz miesięczniku o rynku książki „Megaron”. Przez pięć lat był zastępcą szefa działu zagranicznego „Newsweeka”, obecnie kieruje w tym tygodniku działem kultury.

JULIAN KORNHAUSER (ur. 1946) – poeta, prozaik, krytyk literacki, tłumacz literatury serbskiej i chorwackiej. Profesor UJ, kierownik Katedry Filologii Chorwackiej, Serbskiej i Słoweńskiej UJ. Współzałożyciel i członek krakowskiej grupy poetyckiej Teraz, jeden z przedstawicieli Nowej Fali. Należał do sygnatariuszy „Listu 59”, wyrażającego protest przeciwko zmianom w Konstytucji PRL, za co objęty został zakazem druku. Laureat m.in. nagrody Fundacji im. Kościelskich i Europejskiej Nagrody Poetyckiej.

RYSZARD KRYNICKI (ur. 1943) – poeta, tłumacz, współzałożyciel Wydawnictwa a5, specjalizującego się we współczesnej poezji. Jeden z najwybitniejszych twórców Nowej Fali. W latach 1972-73 pracował w redakcji dwutygodnika „Student”. Należał do sygnatariuszy „Listu 59”, wyrażającego protest przeciwko zmianom w Konstytucji PRL, za co został objęty zakazem druku. Związany z opozycją demokratyczną, publikował swoje książki w drugim obiegu i wydawnictwach emigracyjnych, m.in. w „Zapisie”. Laureat nagrody Fundacji im. Kościelskich, Fundacji im. A. Jurzykowskiego oraz Nagrody Gundolfa.

TOMASZ ŁUBIŃSKI (ur. 1938) – dramaturg, prozaik, eseista i publicysta. W latach 70. był członkiem redakcji warszawskiego tygodnika „Kultura”, w 1978 r. współzaskładał wydawane poza cenzurą pismo „Res Publica”. W latach 80. współpracował z londyńskim „Aneksem” i paryskimi „Zeszytami Literackimi”. Od 1989 r. redaktor naczelny miesięcznika „Nowe Książki”.

KRZYSZTOF MASŁOŃ (ur. 1953) – publicysta, krytyk literacki od lat związany z „Rzeczpospolitą”. Recenzent książki-wywiadu z listy bestsellerów „Magazynu Literackiego Książki”. Laureat nagród Ikara i PIKowego Lauru.

JUSTYNA SOBOLEWSKA (ur. 1972) – krytyk literacki, dziennikarka. Od 2001 r. redagowała dział książki w „Przekroju”, potem pracowała jako redaktor w dziale kultury „Dziennika”. Obecnie jest związana z tygodnikiem „Polityka”. Współautorka książki „Jestem mamą” (2004) i antologii opowiadań „Projekt mężczyzna” (2009).

MIROŚLAW SPYCHALSKI (ur. 1959) – prozaik, publicysta, krytyk, autor filmów dokumentalnych. W latach 80. związany z opozycją demokratyczną, internowany w stanie wojennym. Pracował w pismach drugiego obiegu, publikował m.in. w paryskiej „Kulturze”. W latach 1995-96 był kierownikiem telewizyjnego magazynu kulturalnego „Pegaz”.

ANDRZEJ ZAWADA (ur. 1948) – historyk literatury, krytyk, eseista. Związany z „Literaturą Ludową”, „Twórczością” i „Nowymi Książkami”. Profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, kieruje Katedrą Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej. Jest członkiem Komitetu Nauk o Literaturze PAN oraz kolegium redakcyjnego dwumiesięcznika „Silesia Nova”.

KSIĄŻKI FINALISTÓW

→ moralnym. To jest jak narodowa spowiedź. Książka wstrzeliła się w nurt „pomarańczowej” kultury z czasów prezydenta Wiktora Juszczenki, który nieudolnie próbował zjednoczyć naród wokół stalinowskich prześladowań, takich jak Wielki Głód z lat 30. Może i jest to przynębiająca historia, ale jak we wszystkim, co wschodniosłowiańskie, pobrzmiwa nutka optyizmu.

TOMASZ KUŁAKOWSKI



● Maria Matios, „Słodka Darusia”, tłum. Anna Korzeniowska-Bihun, wydawnictwo Andrzej Bihun, Warszawa 2010

Wydarzenia z czasu grozy

Nie da się narysować śmierci „w ogóle”. W najbardziej schematycznym rysunku będzie tkwić przedstawienie tej śmierci, którą spotkał ten, kto ją rysuje.

Wojciech Tochman zawsze pisał teksty, które prowadziły mnie w trudne miejsca. Jestem mu za to wdzięczna, bo swoją sztuką potwierdza moje przekonanie, że reportaż poszerza życie czytających poza granice doświadczenia, jakie dotąd było ich udziałem.

Napisanie książek takich jak „Jakbyś kamień jadła” czy „Wściekły pies” (opowiadanie tytułowe szczególnie!) oraz ostatniej – „Teraz narysujemy śmierć” o Rwandzie – jest dla mnie dowodem odwagi i siły autora, ale czytanie obciąża. Poddanie własnej wyobraźni przywołaniom rzeczy ponad wytrzymałość raz po raz wymaga decyzji: czy tak bolesna lektura ma sens, czy jest na coś potrzebna, czy wycofać się byłoby nie fair?

To jasne: nie wszystkim polecam czytanie Tochmana, póki on sam nie skieruje swoich możliwości przywoływania ku innym regionom i tematom. Myślę, że potrafiłby otworzyć przed nami także widoki wysp szczęśliwych, przystani odpoczynku. I w tej przerażającej książce są przecież obrazy piękna – przyrody, ludzi. Ale na razie Tochman raczej obciąża czytelników. W czym ten ciężar? W przypomnieniu, nie abstrakcyjnym, lecz poprzez ostry konkret, o rozległości zła i jego sile. Czy dobrze mówię: „zła”? Bardziej chodzi o cierpienie, o ból krzywdy... To staje się odczuwalne. Raz rozniecone współczucie to coś, od czego nie da się łatwo uwolnić. Ból współczucia może być silniejszy od tego, co odczuwamy sami w sobie, nie wspólnie z innymi. Zresztą nikomu, żadnej pojedynczej osobie nie przytrafi się tyle bólu, ile mamy do współczucia w tych miejscach świata, w których Tochman znajduje to, czym potem obciąża siebie i innych. Gdzieś tam, gdzie dociera, znajduje to, czym musi obciążać tych, co się dowiedzą. Pytanie: czy te miejsca potrzebują współczucia? Skuteczne współczucie, angażujące w pomaganie, może coś zmienić w losach ludzi. Ale to nie takie proste. Skuteczność przynosi ulgę w bólu współczucia (pod moim plasterkiem rana się goi).

Jednak nie wszyscy mają do tej ulgi dość szeroki dostęp. Nawet skutecznie działając w maksymalnym wymiarze – całą resztę musimy pozostawić odległym. Więc po co wiedzieć? Po co współczuć? Jak w ogóle współczuć zgwałconym czy dzieciom rysującym śmierć w ramach terapii?

Nie wiem, jak można spokojnie, analitycznie opisać tę książkę Tochmana. Bliższa jest pokusa pisania na jej marginesach, której się poddałam. Biorąc w siebie to, co przywołuje z tak niepokojącą siłą, można tylko zdrętwieć. Potem szukać sposobu, by choć prowizorycznie, choć trochę przywrócić równowagę – nie tyle światu, co sobie (...).

Autor już dwóch książek o ludobójstwach pochodzi stąd, z Polski. To znaczy z kraju, w którego wnętrzu dokonano ludobójstwa na Żydach. W świadomości żydowskich pogrobowców głęboko zakorzenione jest przekonanie o unikalności tej Zagłady. Rozumiem, że każde ludobójstwo jest inne, jak



WOJCIECH TOCHMAN

BARTOŚZ BOBKOWSKI/AGENCJA GAZETA

każda śmierć i każda egzekucja jest tą właśnie, niepowtarzalną jak bratobójstwo Kaina. Niepowtarzalnie powraca z każdą śmiercią, a zwłaszcza z zabójstwem z nienawiści i pogardy. Nie przestaje być tą utratą, źródłem bólu i żaloby. „Unikalne” powtarza się jako inne, unikalne dla kogoś innego.

Nie da się narysować śmierci „w ogóle”. W najbardziej schematycznym rysunku będzie tkwić przedstawienie tej śmierci, którą spotkał ten, kto ją rysuje.

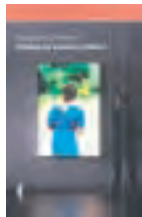
Tak – podkreśliłam już, że nie wszystkim polecam czytanie książki Tochmana o Rwandzie. To nie znaczy, że przed tą książką ostrzegam! Pisząc „nie wszystkim polecam”, chcę osiągnąć wyjątkowo poważne podejście do tej lektury. Trzeba NAPRAWDĘ determinacji i jakby wręcz czegoś z „gotowości” predestynującej do roli świadomego bliźniego, wśród zdezorientowanych, obojętnych i zarażonych śmiercionośną pogardą. Tochman jako reporter doprowadza czytelnika niebezpiecznie blisko fundamentalnych pytań, takich, które rzadko decydujemy się zadać w związku z ludobójstwem, które miało miejsce w naszym kraju, mieście, na ulicy, gdzie dziś się buduje nowe mieszkania.

Jak to było możliwe tam, w Rwandzie, pomiędzy jednym ukwieconym kościołem a drugim, w zasięgu bicia dzwonów? Tochman zbiera świadectwa i przyjmuje do wiadomości, że odgłos rozplatanej maczeta ludzkiej głowy jest podobny do chrzęstu przecinanej kapusty. Rekonstruuje przebieg wydarzeń, ustala, między innymi, czym zajmowali się wtedy katolicy duchowni, a co traktowali jako sprawę dziejącą się obok. W próbach opisywania, jak to się działo, zawarte jest bezsłowne, nieme, paralizujące oskarżenie o brak gotowości, jakby sumienie milczało. Oskarżenie uderza w tych, którzy widocznie nie byli gotowi na wszystko, więc udawali przed sobą i nadal udają, że zabijanie, którego byli świadkami, jakby ich nie dotyczyło. Rzeczy przerażające działy się tuż tuż, lecz jakby w innym świecie. Można było uciec przed ludobójstwem, przyjmując propozycję ratowania siebie jako cennej własności Kościoła. Oprócz ucieczki fizycznej, cielesnej – za granicę obłąkanego kraju, była ucieczka w podejrzania, w podejrzane wyjaśnianie zbrodni, obwinianie „złego świata” albo wręcz „szatana” – tylko nie nas.

Książka Tochmana odtwarza wydarzenia z czasu grozy, o którym nikt nie może łatwo mówić. To przywołanie jest dokonane w sposób mistrzowski; mistrzowska jest oschłość relacji o wydarzeniach, jakby bez emocji – bo żadna nie będzie współmierna. To nie wina Tochmana, lecz moja, że słyszę ów chrzęst kości, oddechy i krzyki ginących. To jest trudne do zniesienia, ale nadmiar pochodzi ode mnie, z moich doświadczeń. Znam śmierć w tłumie, tę nienarysowaną, śmierć, zabijanie, dla którego żywi ludzie byli bezpośrednim tłem, zarostami, na placu, na którym już wepłano ostatnie źdźbła i wciągając to w płuca resztę powietrza.

Przeczytawszy o tym, jak było wtedy na przykład na Gikondo, niezbyt wiele mam sił na konfrontację z niezwykle ważnym ciągiem dalszym, z tym, co dzieje się w Rwandzie teraz. Teraz mamy tam epokę troski o reintegrację po powrocie tamtych wtedy niegotowych do uszanowania człowieczeństwa. Niegotowych zresztą i teraz jest wielu, niezdolnych do pomagania ofiarom i sprawcom w sprawie najważniejszej: jak żyć dalej.

HALINA BORTNOWSKA



● Wojciech Tochman, „Dzisiaj narysujemy śmierć”, Czarne, Wołowiec 2009

Fragment artykułu opublikowanego w „TP” nr 51/2010 r.



20. Wrocławskie Promocje Dobrych Książek

1–4 grudnia 2011

Wrocławskie Promocje Dobrych Książek

to wyjątkowy czas dla Wydawców i Czytelników,

Wrocławskie Promocje Dobrych Książek

to festiwal literatury, na którym powinieneś być!

Zapraszamy: MUZEUM ARCHITEKTURY, ul. Bernardyńska 5

Wrocławskie Promocje Dobrych Książek

to spotkania z pisarzami, dyskusje, wieczory literackie w Salonie Angelusa,

Wrocławskie Promocje Dobrych Książek

to wystawy oraz warsztaty artystyczne.

Zapraszamy: GALERIA BWA AWANGARDA, ul. Wita Stwosza 32

Wrocławskie Promocje Dobrych Książek

to konkurs na Najlepszą Książkę Roku „PIÓRO FREDRY”.

ZAPRASZAMY DO WROCŁAWIA

www.wpdk.pl

Biuro Wrocławskich Promocji Dobrych Książek

50-052 Wrocław, ul. Widok 7A, www.wpdk.pl, e-mail: wpdk@wpdk.pl, tel. +48 71 364 69 71, tel./fax +48 71 346 08 23